Świat powieściowy.

Nr. 134 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Złamany a nieugięty.

Powieść w trzech częściach.

(Dokończenie).

Pewnego poranku Dymitr Dymitrow, po nocy spędzonej bezsennie, po powrocie od starego hrabiego, wszedłszy do małego ogródka dla orzeźwienia się świeżem i balsamicznem powietrzem, ze zdumieniem spostrzegł jakąś panią, stojącą za parkanem i wspinającą się na palce, by mogła objąć spojrzeniem posiadłość jego. Domyślając się w niej pacjentki, zbliżył się, chcąc zapytać, czem służyć jej może. Nieznajoma jednak nie czekając na jego zapytanie przemówiła pierwsza. Była to kobieta mniej więcej czterdziestoletnia, nadzwyczaj ujmujących i sympatycznych rysów, którą nieco starszą robiła zbyt obfita tusza. Zobaczywszy podchodzącego ku niej mężczyznę, zmięszała się i rzekła:

— Widzę w panu zapewne właściciela tego dworku i przepraszam najmocniej, że okiem ciekawem wciskam się w jego zacisze. Przebaczy mi pan jednak, gdy się dowie, że jest to kąt mój rodzinny i że pod tym dachem przeżyłam wiele chwil bolu i uroczych marzeń! Własność tę moją sprzedać musiałam, ale mi jej żal bardzo i ciągnie ku niej nieprzeparta siła wspomnień. Jestem chwilowo we Lwowie, a korzystając ze sposobności, nie mogłam się oprzeć chęci zobaczenia raz jeszcze tego kącika..

Łzy zasłoniły jej oczy, otarła je jednak prędko i uśmiechnęła się łagodnie i słodko. Zdziwiona milczeniem mężczyzny, podniosła wzrok na niego i ponsu rumieniec oblał jej lica. Teraźniejszy właściciel dworku stał w nią zapatrzony, a w oczach jego nieosłonionych okularami także łzy błyszczały.

— Sen to czy prawda?! — zawołała kobieta. — Arnold! Arnoldzie, to ty?! Ty żyjesz?!

— Lolu! — rzekł tylko Dymitr i wpatrzył się w nią łzawemi oczyma. Potem wziął ją za rękę i wprowadził do wnętrza dworku.

— Mówiono mi, żeś zginął z własnej woli — mówiła kobieta wpatrując się w twarz jego zmienioną do niepoznania — ach, tak płakałam! Mój bracie kochany, jakże się cieszę, że pamięć o mnie przechowałeś! O, bo z pewnością dla tego kupiłeś ten dworek — wszak prawda? mój ty poczciwy! zawsze twe serce złote! Ja musiałam go sprzedać... mąż mi tak radził. Ty nie wiesz może, że ja zamąż wyszłam? Widzisz, w moim wieku! On taki poczciwy, rozumny, dobry, kocha mnie tak bardzo... doprawdy niewiem za co! Jam go nie warta! Wydajemy właśnie zamąż jego córkę z pierwszego małżeństwa i przyjechaliśmy po wyprawę. Ale ja mam już i moje własne dzieciątko, śliczne jak aniołek! — mówiła z roskosznym uśmiechem dumy macierzyńskiej, która jej lat ujęła i wdzięków dodała. — Prosiłam Boga, żeby się syn urodził, chciałabym była nazwać go Arnoldem na dowód pamięci o tobie; Bóg dał córeczkę i nazywa się Milunia. Już odłączyłam — taka duża i pulchna — cztery ząbki dostała, nawet niewiem kiedy!.. Widzisz jaka ja egoistka — mówię ciągle o sobie tylko. Opowiedz-że mi twoją historję... Cóż z nią się stało?... Czy ty wiesz o tem, że ja pojechałam do Wiednia, aby ciebie szukać? Że ja też to wszystko przeżyłam! Jeszcze teraz cię widzę, jak ją otulałeś szalem i objęciem!... Gdyby nie religja, byłabym sobie życie odebrała! Cóż się z nią stało?

— Umarła! — odrzekł Dymitr z głębokiem westchnieniem.

— Umarła! — powtórzyła Lola z żalem. — Mój Boże! taka młoda i piękna! Dla tego i ty umrzeć chciałeś!... — dodała ciszej i zamyśliła się smutnie.

— Lolu, przebaczysz ty mi kiedy? — zapytał błagająco, ujmując dłoń jej w swoją.

— Cóż ja ci mam przebaczyć biedaku ty mój kochany?! Wszakżesz ja sama przeczuwałam, że tak się stać musi! Dziękować ci powinnam i dziękuję. Byłabym bardzo nieszczęśliwa, gdybyśmy się byli pobrali. Jam za stara dla ciebie. Nie mógłbyś mnie kochać długo! ale kochałeś mnie wtedy — prawda? Wiesz, może to źle, ale mnie dziwnie jasno w duszy, kiedy myślę o tej dawno minionej przeszłości... Tak bym chciała, żebyś poznał mojego męża! Stosowna z nas para. Ja mam lat 42, on 56, ale nie wygląda na tyle i bardzo przystojny. A jaki czczony i poważany w obywatelstwie! Cała okolica do niego po radę zjeżdża — na każdym sądzie polubownym on rozstrzyga. A jaki patryjota! nie dość, że w roku 31. odniósł dwie rany, ale i dziś on pierwszy do składki i każdej ofiary na rzecz ojczyzny!

— Ty go kochasz Lolu! — zawołał słuchając jej opowiadania i twarz mu się rozpogodziła.

— Mogłożby być inaczej?! Miłość to inna lecz nie mniej serdeczna! — odrzekła. — Kocham go całą duszą i jestem szczęśliwa!

— Och! jakżeż ci dziękuję za to zapewnienie siostro moja droga! Wszak wolno ci być moją siostrą? — zapytał tkliwie i poufale, po dawnemu.

— Będę nią zawsze dla ciebie, bądź pewny! Musisz mnie odprowadzić i poznać się z moim mężem, któremu przed ślubem wyspowiadałam się z uczucia, jakie czułam dla ciebie... Postępowaniem swojem postarał się on o to, by ono zostało li tylko miłem wspomnieniem, a dziś mój świat cały to on i dziecię! Ale i dla ciebie nie zabraknie miejsca ani w domu ani w sercach naszych!... Dla czegoż jednak jesteś pod przybranem nazwiskiem? Wytłumacz mi to, jeśli możesz — proszę cię — rzekła z uczuciem patrząc mu w oczy.

— Lolu najukochańsza — odrzekł głosem serdecznej prośby. — Arnold Kohlmann spoczął na wieki na dnie Dunaju, a że zmartwych powstał pod nazwiskiem Dymitra Dymitrow, tylko tobie i twojemu mężowi wolno o tem wiedzieć. Pamiętaj o tem Lolu! Tamten niech spoczywa w pokoju!...

Lola nareszcie spostrzegła, że za długo już bawi i mąż niepokoić się może. Dymitr Dymitrow odprowadził ją do bramy i pożegnał, obiecując uroczyście, że w ciągu dnia ich odwidzi, by poznać się z jej mężem. Nie prędko to jednak nastąpiło. Dobrze to mówi przysłowie, że „człowiek strzela a Bóg kule nosi!“ Właśnie gdy kończył się ubierać, by oddać tę wizytę, doręczono mu telegram następujący:

„Hrabina chora oczekuje przybycia konsyljarza.“

„Gustaw P.“

Było jeszcze pół godziny do odejścia pociągu. Dymitr Dymitrow niespokojny jak nigdy, pierwszemu fiakrowi, którego spotkał na drodze, kazał się wieźć na dworzec.

Paula nie mogła być bardzo chorą, telegram w takim razie byłby brzmiał trwożliwiej, a jednak lekarzowi zdawało się, że pociąg posuwa się żółwim krokiem, że w atmosferze zawisła ciężka chmura, że bicie niespokojnego serca pierś mu rozsadzi.

Lokaja czekającego z karetą zapytał gorączkowo i trwożliwie jak się mają hrabstwo?

— Pan hrabia jak zawsze, a pani hrabina coś nie najlepiej. Nie leży jednak — odrzekł zapytany.

Arnold odetchnął głęboko i zawstydził się swej trwogi dziecinnej, a w duchu pomyślał:

— A gdyby nawet — gdyby umarła? Miałżeby duch mój zmarnieć nikczemnie?!

Hrabinę zastał na terasie zdobnej kwiatami.

— Czyś chora hrabino? — zapytał z trwogą.

— O, to nic — troszkę! — odrzekła. — Ale wezwałam cię Dymitrze Dymitrow, by radą twoją przytłumić chorobę w zarodku. Nie chcę chorować, a tem mniej umierać! Odkąd nauczyłeś mnie żyć pożytecznie, widzę że życie jest piękne!...

Chociaż na pozór nic w niej nie było zmienionego, lekarz dostrzegł jakiś stan nienaturalny. Prosił ją do pokoju, chcąc wybadać, ale ona roześmiała się głośno i rzekła:

— Nie jestem przecież chora! Cóż znowu konsyljarzu! przesadzasz w troskliwości! Wieczór tak śliczny... podaj mi ramię i przejdźmy się trochę pomiędzy klombami tych cudnych kwiatów. Gdy cię mój mąż później pochwyci, nie odda mi cię prędko. Widzisz, zazdrosną jestem!

— Jesteś dziś hrabino w dziwacznem usposobieniu! — szepnął cicho.

— Przywiduje ci się Dymitrze Dymitrow. Nauczyłeś mnie przecież być wiecznie spokojną i udało ci się — jesteś mistrzem w tej sztuce — a gdy troszeczkę jestem weselszą, już cię to dziwi! Jakie też kwiaty najbardziej lubisz? — zapytała i pochyliła się nad klombem.

— Wszystkie.

— Ale przecież które najwięcej? powiedz.. ja proszę — nalegała głosem pieszczotliwym, słodkim, melodyjnym.

— Narcyzy białe — odrzekł Dymitr.

— O, i ja je bardzo lubię! Dostaję zawrotu głowy, gdy się schylam, więc zrób mi ty z nich bukiecik maleńki.

Uszczknął jej kilka kwiatów i włożył w dłoń białą. Uśmiechnęła się i skinęła mu na podziękowanie głową.

— Chodźmy do pałacu — rzekła. — Mąż mój niecierpliwi się i czeka — i wysunąwszy rękę z pod jego ramienia, weszła pierwsza.

Przy wieczerzy była wesoła jak nigdy. Ona, co zwykle jadała jak mała ptaszyna, wśród śmiechu i głośnej rozmowy zjadła pełny talerzyk grzybków, nie zapraszając do nich nikogo więcej.

Odchodząc dotknęła ustami czoła męża i ścisnęła na dobra-noc dłoń lekarza.

Dymitr Dymitrow znalazłszy się sam w przeznaczonym dla siebie saloniku, drżał cały w przeczuciu jakiegoś nieszczęścia i nie mógł odważyć się położyć. Zdawało mu się koniecznie, iż noc ta nie obejdzie się bez jakiejś strasznej katastrofy.

I nie omylił się! Nie długo nawet czekał, bo zegar nie wybił jeszcze godziny duchów, a zjawiła się u niego młoda pokojówka, oznajmiając, że pani hrabina ma się źle.

Porwał się i wybiegł za przewodniczką.

Zastał hrabinę wprawdzie bardzo bladą ale uśmiechającą się smutnie. Wpół rozebrana leżała na pościeli z puchu i koronek.

Cóż się stało hrabinie tak nagle, gdy prawie zdrowa odeszła od wieczerzy?

Gdy po wieczerzy weszła ona do swej sypialni, stanęła na środku pokoju i długo tak stała bez ruchu jak posąg z marmuru. Straszna jakaś walka toczyła się w śnieżnem łonie, które falowało gorączkowo. Powoli coraz silniejszy wyraz nieugiętego postanowienia wyrywał się na jej twarzy.

— Nie, nie mogę tak żyć dłużej! — szepnęła sama do siebie. — I tak męczę się już długo! Wyczerpały się me siły! Nie — nie mogę! Przebacz mi ojcze w niebiosach, przebacz grzesznej duszy!

Nalała potem wodę do szklanki, wsypała trochę cukru, wycisnęła kilka kropel cytryny, wyjęła później z kasetki mały szary flakonik i z tegoż kilka kropel płynu wlała do szklanki.

Po chwili usiadła na łóżku, przyciskając bukiecik narcyzów do ust i serca, i zamyśliła się głęboko. Chwilami ocierała pot zimny z czoła, szepcąc cicho:

— Chrystus bał się śmierci... i ja jej się boję... a jednak nie mam odwagi żyć dłużej!...

Po godzinie takich rozmyślań dotknęła się srebrnego dzwonka, na odgłos którego ukazała się pokojówka, spiąca w ubocznym pokoju.

— Coś mi nie dobrze — rzekła do niej hrabina. — Kto wie, czy grzyby nie były jadowite, bo jakieś dziwne bole uczuwam. A jadłam ich tak dużo! Szczęście, że doktor dziś nocuje. Idź Franiu do niego pomimo spóźnionej pory i poproś go do mnie, gdyż mi co raz gorzej!

Przestraszona dziewczyna pobiegła, a hrabina szepnęła:

— Stało się!

Gdy wszedł blady jak widmo lekarz, nie mogący przemówić ani słowa od jakiegoś niewytłómaczonego przestrachu, hrabina uśmiechnęła się i rzekła:

— Przepraszam, żem ci sen przerwała Dymitrze Dymitrow, ale źle się coś czuję. Za wiele jadłam grzybów, a może nie wszystkie były dobre.

— Hrabino na Boga! co mówisz?! — zawołał z przestrachem.

— Ale ja żartuję! To nic, chwilowa niedyspozycja! To przejdzie! Ale ja jestem jak dziecko i boję się zaraz. Aż się wstydzę doprawdy! Zostaniesz przy mnie doktorze — dobrze? Ta biedna Frania aż oczy mruży, taka spiąca. Idź i połóż się, a gdy cię będę potrzebować, to zadzwonię.

Dymitr Dymitrow przeczuwał coś strasznego. Gdy drzwi się zamknęły za dziewczyną, chwycił Paulę gwałtownie za ręce.

— Hrabino! — syknął — co to jest?!

— No, wszak widzisz — odrzekła — to bukiecik od ciebie. Śliczny, biały bukiecik, a jak pachnie miło... Biedne kwiatki tak prędko więdną! życie człowieka trwa dłużej jak życie kwiatów.. Doktorze, czuję małą gorączkę, czy nie zaszkodzi mi limonjada?

— Nie — odpowiedział — ulgę ci uczyni.

— I ja tak myślę — nawet pewna tego jestem... — i uśmiechnęła się dziwnie. — Bądź tak dobry Dymitrze Dymitrow i podaj mi ją. Ot stoi tam na stoliczku przygotowana na noc.. co dzień ją piję. Dziękuję ci... ale ręka mi tak drży, iż nie mogę utrzymać szklanki... Pomóż mi ponieść ją do ust... Tak, dobrze, dziękuję ci — i wychyliła ją do dna.

Potem topiąc wzrok w spojrzeniu jego, rzekła cicho:

— A teraz przysuń fotel tu do mnie i usiądź. Mam ochotę gawędzić. Muszę ci powiedzieć doktorze, że zawsze byłam ekscentryczną. Kochałam bardzo i mimo twych pięknych rad, piękniejszych przykładów i najpiękniejszej roli, którą mi narzuciłeś, nie mogłam przestać kochać. To dziwactwo, ale cóż ja winna, że się go pozbyć nie mogłam!... Ach! — jęknęła cicho — jakże mię boli! — i skurczona we dwoje mówiła dalej: — Zawsze marzyłam o tem — śmieszne to marzenie! — że chciałabym śmierć ponieść z ręki ukochanej, i... oto podałeś mi limoniadę!...

— Paulo! — krzyknął Dymitr i porwawszy ją wpół, podniósł jak dziecię.

W jednej chwili zrozumiał wszystko!

— Paulo, przez litość! powiedz że kłamiesz!

— Nazwałeś mnie przecież Paulą jak dawniej!... Jestem szczęśliwa! Dziękuję ci... Och! — jęknęła znowu i padła na poduszki blada i sztywna.

Ale Dymitr jednym skokiem stanął w swojej sypialni, z podróżnej szkatułki porwał płyn jakiś i w zaciśnięte bolem usta otrutej wlał kilkanaście kropel. Rozbudził służbę i kazał grzać kąpiel, do której wsadzono nieprzytomną hrabinę.

Na szczęście trucizna, którą wlała do szklanki, była za słaba, by przy energicznej i nieustannej pomocy lekarza, mogła być zabójczą. Po kilku godzinach okropnych męczarń hrabina odzyskała przytomność i życie, ale na drugi dzień głowa Dymitra pokryła się szronem srebrnych włosów.

Powszechnie mówiono, że hrabina o mało nie padła ofiarą jadowitych grzybów.

Gdy na drugi dzień dowiedział się hrabia, że o włos jeden, a piękna jego żona byłaby legła w mogile, rzekł:

— Jakie to szczęście, że ja grzybów nie jadłem!

Straszna tragedja, która zaszła tej nocy, pozostała tajemnicą między Bogiem a dwojgiem tych nieszczęśliwych. Hrabina długi czas czuła skutki trucizny, chorowała długo i Dymitr Dymitrow ją leczył, gdy zaś niechciała pić gorzkiego lekarstwa, jednem słowem zniewalał ją do tego, a tem słowem było wymówione z uczuciem imię:

— Paulo!

Była to prośba i rozkaz, przeszłość i nadzieja lepszej może przyszłości. Na dźwięk tego słowa po raz drugi skoczyłaby była z okna, po raz drugi wypiła truciznę!

Hrabia, którego apetyt z dniem każdym się wzmagał, umarł wreszcie z ustami pełnemi łakoci. Piękna wdowa odziedziczyła cały majątek i przywdziała dla świata żałobę. Ulepszenie bytu włościan postępuje w jej dobrach na wielką skalę, do czego głównie się przyczyniają mądre i szlachetne rady Dymitra Dymitrow, który gdyby chciał, mógłby być panem wielkiego majątku i ślicznej rączki wdówki, w której sercu od tak dawna panuje. Nie ożeni on się jednak prawdopodobnie ani z nią, ani z żadną inną. Czy kocha jednak Paulę? Nie wiemy! Zaręczyć tylko możemy, że często i niewzywany zjawia się w jej pałacu, a niewzruszony jego spokój ulotnił się tak dalece, że godzinami całemi wpatruje się w punkt jeden, a tym punktem są czarne, aksamitne oczy hrabiny, która odzyskała teraz humor i wesołość lat młodych, i że tak się czują szczęśliwi, iż o innem szczęściu nawet nie zamarzą nigdy.

Czy jednak potrafią utrzymać się zawsze na tej stopie, nie wiemy również, i niestety pozwalamy sobie wątpić, bo znając życie, przestaliśmy wierzyć w niedoścignione ideały!

K O N I E C.

L'OMBRA.

NOWELLA.

(Ciąg dalszy).

W latach ośmnastu, nie można atoli zakosztować uciech światowych, nie można bezkarnie przytknąć ust spragnionych do czary roskoszy, musi potem zaciężyć samotność, choćby w państwie tak pełnem uroku, w jakiem ona królowała, choćby w towarzystwie z arcydziełami rzeźbionemi i malowanemi świata całego, szczególniej, gdy tej samotności nie rozweselają błogie marzenia, nie uśmiechają się nadzieje słodkiej przyszłości. W tak młodym wieku, chętnie miejsce zmieniamy Nie długo też Erminja rzuciła od niechcenia staremu przyjacielowi:

— Gdybyśmy też wybrali się do Medjolanu?

— Jedźmy do Medjolanu.

— Tak bym chciała poznać teatr *La Scala*!

— Nic łatwiejszego! Będziemy w *La Scala*!

Doskonale trafiła lady Stève. Jakby odgadła, że właśnie przygotowują w teatrze *la Scala*, przedstawienie galowe dla sierot pozostałych po ofiarach spalonych w teatrze w Nicei. Sławna Prescilla występowała w Purytanach. Prescilla była spiewaczką pierwszorzędną. Co za roskosz usłyszeć ją!

O niczem nie mówiono, tylko o sławnej Primadonnie, i wszystkie miejsca były wykupione. Barini w rozpaczy daremnie rzucał się na wszystkie strony ofiarując za lożę sumy bajeczne, gdy nareszcie dotarł do samego dyrektora i poznał w nim dawnego kolegę, signor'a Stranoni'ego. Za pieniądze i dobre słowo (jak to mówią) wszystkiego na świecie dostanie, otóż i Barini wrócił tryumfujący, pokazując z daleka uszczęśliwionej Erminji bilet do loży.

Zasiedli natychmiast do partycji Purytanów, aby odświeżywszy sobie operę w pamięci, tem lepiej mogli ocenić grę i spiew artystów.

Nigdy jeszcze Erminja na nic się tak nie cieszyła. Purytanów przenosiła nad wszystkie inne opery i miała usłyszeć to arcydzieło, spiewane przez najlepszych włoskich artystów! Na kilka dni atoli przed chwilą oczekiwaną niecierpliwie, wpadł Barini z miną wystraszoną!

— Ach! *regina bella*! — wykrzyknął.

— Cóż się stało? — zagadnęła Erminja, również zaniepokojona.

— Będziesz jak i ja w rozpaczy! Spotkałem mojego siostrzeńca Micardo, który jest fryzjerem w teatrze *la Scala* i ten mi powiedział, że przedstawienia zapowiedzianego nie będzie.

— Jakto? Dlaczego?

— Poleciałem do Stranoni'ego... Ach! jakie nieszczęście!

— Mówże prędzej! — krzyknęła młoda kobieta niecierpliwie.

— Prescilla upadła na schodach i nogę złamała. Mój przyjaciel jest człowiekiem zgubionym... król,

dwór, cały Medjolan miał teatr zapełnić. Biedne! biedne sieroty!

— Czyż nie ma spiewaczki, która by ją zastąpiła?

— Zdublować Prescillę! — zawołał Barini oburzony. — Żaden teatr na świecie nie opłaca naraz dwóch takich artystek pierwszorzędnych.

Biegał po pokoju, rwąc sobie włosy z głowy. Ponieważ Erminja milczała, zaczął po chwili na nowo:

— Stranoni rozumie to tak dobrze jak i ja, że trzebaby mu artystki pierwszorzędnej w tym wypadku.

— Nie możnaż sprowadzić z Rzymu, z Paryża?

— Myślisz, że takie perły poławiają się w Rzymie? To, to, to! zaraz!... A z Paryża? Nie ma na to czasu! Zresztą talenta prawdziwe coraz rzadsze... Nie uczą się, nie pracują jak należy. Zdaje im się, iż dość usta otworzyć, aby głos wyszedł, dźwięczny, strojny, jak kobieta na bal idąca. Głos to tak jak złoto, choćby było najczystsze, trzeba ręki biegłej i wprawnej, trzeba drogich kamieni, aby metal zamienić w klejnot kosztowny.

Znowu milczenie zapanowało. Barini mruczał sam do siebie dość głośno, aby być słyszanym:

— Znam taką spiewaczkę... znam tylko jedną!... Biedne sieroty będą musiały z głodu umierać.

— Pomrą z głodu?! — Erminja krzyknęła.

— Z pewnością!

— Ależ to okropność!

— Smutno, bardzo smutno! To też carissima, gdy mi Stranoni z tem się wynurzył, straciłem głowę zupełnie... i wyrwało mi się głupstwo wierutne!...

Nie będąc pytanym, Barini mówił dalej z wahaniem i mocno się zająkując:

— No! głupstwo palnąłem... Ty nie wiesz *cara mia*, iż można zmienić się nie do poznania.

— Po co? — wypatrzyła się na niego zdziwiona.

— Ot! tak sobie!... — zatarł ręce unikając jej wzroku. — Trochę farby oliwkowej na twarz, szyję i ramiona, włosy krucze na głowę, a ja sam bym ciebie nie poznał... Pytałbym się: „— Co to za kobieta?“ — tylko usłyszawszy, powiedziałbym: „— To pierwsza spiewaczka na świecie!“

— Co znaczą te słowa? — Erminja pojąć nie mogła wzruszenia gwałtownego starego spiewaka i tej mowy dziwnej, urywanej.

— Ach! *Carissima*, gdybyś chciała!...

— Chciała... co?

— Idzie *regina mia*, o uratowanie nieszczęśliwych, o czyn piękny, szlachetny, godny aniołów. Nie zobowiązałem się bynajmniej... nie, doprawdy!... powiedziałem tylko po prostu, iż znam spiewaczkę o całe niebo wyższą, niż Prescilla. Wtedy Stranoni porwał mnie w ramiona, ściskał, zaklinał, mało nie udusił. Gdybyś go była widziała, ty taka wspaniałomyślna!... Zostanów się tylko *carissima!* doskonale ugrimowana.. nie do poznania... uratować od nędzy, biedne, niewinne dziateczki!... Umiesz tak doskonale tę operę!

— Czyś oszalał? — wybuchnęła lady Stève.

Barini wprawdzie zmysłów nie postradał, było to jednak stare dziecko. Znajomość życia i świata ograniczała się u niego na kochaniu Boga i czci jeszcze niemal większej dla swojej sztuki. Zdawało mu się całkiem naturalnem, zastąpić Prescillę Erminją. Gdyby ktoś mu chciał był wyperswadować, o ile myśl taka jest dziwaczną i niewykonalną, byłby z krwią najzimniejszą odpowiedział, iż Erminja ma stokroć więcej talentu niż Prescilla, tryumf jest więc pewny. Nikt zresztą nie dowie się o prawdziwem nazwisku i stanowisku spiewaczki, nikt jej nie pozna, a on doczeka się przed śmiercią chwili roskosznej i będzie mógł podziwiać na scenie swoją najlepszą elewkę.. Występy na scenie były chwałą Barini'ego, czemuż ostatnim tryumfem nie ma być pokazanie światu tej, którą natchnął swoją metodą niezrównaną, w którą przelał niejako duszę własną. Hrabia Borozzo, książe Marcello, nie zyskaliż sławy nieśmiertelnej na deskach teatralnych? To przedstawienie nadzwyczajne jest jedyną sposobnością! Cóż to może zaszkodzić Erminji, skoro jest pewną powodzenia!

Równie nieświadoma zwyczajów i przesądów w wyższych sferach towarzyskich, jak i jej stary przyjaciel, Erminja była raczej zdziwiona niż zgorszona słowami Barini'ego i nadzieją, którą wzbudził w Stranoni'm. Wychowana w czci głębokiej dla sztuki i w szacunku dla wielkich artystów, nie zdawało jej sie poniżeniem, tychże naśladować. Wszak dziadziowie tak ją podziwiali, gdy spiewała na scenie z Barini'm. Nie musiało być w tem nic złego, skoro chętnie na nią patrzyli. Cóż szkodzi istotnie teatr? Byle na scenie dobrze zaspiewać i *fiasca* nie zrobić. Mówią jej, że to będzie uczynkiem miłosiernym... czyż zrobi tak jak skąpiec, który skarby swoje przed okiem ludzkiem zakopuje? Barini spostrzegł, iż już się wahać zaczyna, przemówił więc z zapałem zdwojonym:

— Świat cały legnie u nóg tej gwiazdy nieznanej!... Słyszę już oklaski... Oh! *carissima mia*, burzę oklasków!

— Spiewać z akompaniamentem dobrej orkiestry, co to musi być za roskosz! — szepnęła. — Bałabym się jednak...

— Bać się, czego?! — krzyknął kusiciel. — Z twoim głosem! z twoją metodą!... umiesz operę tak doskonale, iż wystarczyłaby jedna próba...

— Ależ być wystawioną na spojrzenia, na krytykę całej sali! — wtrąciła na pół przekonana.

— Lady Stève zniknie z powierzchni ziemi, będziesz inaczej wyglądała, przyjmiesz inne nazwisko... Mój siostrzeniec zmieni cię do niepoznania. Liczy na dziedzictwo po mnie. Zagrożę mu, iż grosza nie dostanie, jeżeli piśnie słowo!

Staruszek poleciał po medjolańskiego *Figaro*. Złote włosy przykryto lokami i puklami kruczemi, liljową białość lic Erminji powleczono farbą złotawą mulatek. Gdy się przejrzała w źwierciedle, śmiechem parsknęła, sama siebie nie poznając.

— Czy to ja, czy nie ja? — wykrzyknęła — co za zmiana! Oczy mają kolor turkusów, zęby świecą jak kość słoniowa... Istotnie kto inny, nie Erminja jasnowłosa spiewać będzie. Ale, ale! jakże tę drugę nazwiemy?... *L'Ombra*, skoro ma potem zniknąć z horyzontu!....

Barini, widząc iż ją śmieszy przebranie, i że całe to dziwne postanowienie, zabawką jej się niemal wydaje, zawiózł ją do teatru. Wszystko naprzód było umówione z dyrektorem, który mimo zapewnień starego przyjaciela, nie bardzo ufał tej jego gwieździe nieznanej. Trzeba było tak fatalnego zbiegu okoliczności, aby zmusić go do takiej próby awanturniczej.

L'Ombra była wprawdzie młodą i piękną, to już wiele znaczyło, ale jeszcze nie wszystko! Stranoni podał jej ramię, i poprowadził za kulisy. Drżała trochę, prędko jednak wróciła do równowagi, skoro trzeba było nauczyć się wchodów i wychodów za kulisy. Stranoni przerażony jej zdziwieniem i nieobeznaniem ze sceną, spytał cicho Barini'ego, gdzie też *l'Ombra* debiutowała.

— Czekaj no tylko, czekaj! — odpowiedział zapytany.

Zaczęli się schodzić artyści współgrający.

— Ta więc ma zastąpić Prescillę? — szeptano sobie do ucha. — Toż to *fiasco* zrobi olbrzymie!

Orkiestra się odezwała, Erminja drgnęła, jak dzielny żołnierz na odgłos surmy bojowej. Wkrótce zapałem uniesiona, zapanowała nad trwogą i pokonała nieśmiałość. Każdy czekał początku niecierpliwie, z niedowierzaniem, niektórzy nawet z uśmiechem szyderstwa na ustach, skoro jednak pierwsze tony usłyszano, zadziwił wszystkich głos czysty, objętości niesłychanej, dźwięku niezrównanego; podziw wzrastał, gdy metoda okazała się znakomitą. Po pierwszej arji powodzenie było zapewnione. Artyści byli zachwyceni, orkiestra biła oklaski, a Stranoni płacząc z radości, wykrzyknął:

— Jestem uratowany!

Każdy się pytał, zkąd przybyła ta artystka pierwszorzędna, gdyż pewność jej spiewu i gra znakomita, zdradzały rutynę sceniczną.

— Jest cudzoziemką — odpowiadał Barini dumny ze swojej elewki, co nie przeszkodziło mu, gdy sami zostali, powtórzyć z nią kilka ustępów, z których nie zupełnie był zadowolony.

— Musiałaś być roztargnioną lub onieśmieloną — zauważył.

— To nie — odpowiedziała — zapomniałam najzupełniej o mojem Ja i o reszcie świata. Nie miałam wyobrażenia o uczuciu równie upajającem, jakiego się doznaje przy akompaniamencie potężnym, a jednak harmonijnym, tylu instrumentów połączonych, posłusznych jednemu głosowi, który je prowadzi niejako, jak mocarz swoich niewolników; do tego akcja, podsycona muzyką, porywa nas i opanowuje. A jak się swobodnie oddycha, rzucając ton w tę nawę olbrzymią, która zdaje się nam go oddawać czyściejszym jeszcze i dźwięczniejszym. Co za roskosz przelewać duszę całą w słuchających, dzielić się z nimi wrażeniami zdwojonemi gorączką, którą się uczuwa na scenie... Zdaje mi się, że w takich warunkach śpiewałabym dzień i noc bez zmęczenia.

— Tak — Barini uśmiechnął się tryumfująco — bez zmęczenia, bo umiesz głos prowadzić, bo nie szafujesz nadto oddechem, bo panujesz nad własnym zapałem, pojutrze atoli sala wyda ci się przygłuszona, bo będzie pełną. Zachowaj tylko krew zimną, myśl o sztuce, nie o zgromadzonej publiczności i staraj się nie uważać nawet, czy kto na ciebie patrzy.

— Ręczę, że mnię nic nie zmięsza — Erminia odrzuciła — będę oddana wyłącznie uczuciom, które mam wyrażać, będę się czuła szczęśliwą, słysząc głos własny, naginający się podług mojej woli... Zresztą maska mnie osłania. Odkąd spojrzawszy w źwierciadło sama siebie odszukać nie mogłam, zdaje mi się, że i drudzy mnię nie widzą.

Przy drugiej i ostatniej próbie, tryumf był zupełny. Wieść stugębna rozeszła się po mieście, że Prescilla będzie świetnie zastąpioną, melomani jednakże potrząsali głową niedowierzająco. Nie zawsze można się spuścić na echa zakulisowe... Cudzoziemka, nikomu nie znana, młodziusieńka... Czyż może rozwinąć się talent w całej pełni w takim wieku?!

W dzień przedstawienia Barini był w gorączce, nie mógł chwili postać na jednem miejscu, aż przykro było patrzyć na jego niepokój. Erminja przeciwnie zachowała krew najzimniejszą. Gdy wyszła na scenę i rzuciła okiem na salę, pływającą w morzu światła, zdawało jej się, że jest przeniesiona w jakąś krainę harmonji, promienistą, pełną bogów i bogiń. Kobiety stroiły kwiaty i drogie kamienie, miljony światełek niby gwiazdeczki w sali migotały, odbite od pereł i brylantów, ją samą potok ognisty od widzów oddzielał, całe otoczenie wydało jej się czemś nie ziemskiem, czemś unoszącem ją wysoko, wysoko! siłą czarodziejską... Odpowiadała instrumentom, mówiącym do niej bogów językiem, nie zważając na głuche milczenie tłumu zapatrzonego i zasłuchanego, który żałując Prescilli, nie przyjął oklaskami jej zastępczyni; po pierwszej arji atoli, uniesiony podziwem i uwielbieniem, wybuchnął — jak Barini przepowiadał — burzą oklasków szalonych.

Ten hałas obudził niejako Erminję i trwogą napełnił. Pierwszym jej popędem było uciec i schować się, uspokoiła się jednak, przypomniawszy sobie, iż jest zmienioną nie do poznania. Po każdym akcie wywoływano *L'Ombrę* niezliczone razy, na końcu przedstawienia obsypano ją gradem wieńców i bukietów.

Ostatni, który padł u nóg jej samych, był to bukiet przepyszny z kamelji białych, otoczony wianuszkiem fiołków parmeńskich. Był ze wszystkich najpiękniejszym i najwonniejszym, a rzuconym tak zręcznie, iż to ją spowodowało podnieść oczy. Spostrzegła w jednym z foteli blisko orkiestry młodziana smukłego, jasnowło-

sego, postawy pięknej i szlachetnej, który powstał był i wpatrywał się w nią z zachwytem i uwielbieniem. Spuszczano i podnoszono kortynę bez końca, publiczność nie mogła nasycić się widokiem boskiej *Divy*, a przez cały ten czas, młody zapaleniec wzroku promienistego od niej nie odwrócił.

Nazajutrz *L'Ombra* zajmowała wyłącznie miasto całe. Każdy radby ją był odwidzieć, a nikt nie znał jej adresu. — Zkąd się zjawiła? — pytano. — Jak mogła taka młoda nabyć i rozwinąć taki talent genjalny? Co za głos! jaka uroda! ile gracji niezrównanej!

Podczas gdy publiczność nad rozwiązaniem tej zagadki pracowała, Barini był dotąd w gorączce i rozśmieszał Erminję przesadą w pochwałach i szalonym entuzjazmie.

— Jesteś moją chwałą! — krzyczał gestykulując jak opętany — mogę umrzeć teraz spokojnie, byłem sowicie wynagrodzony za mój trud! Przeszłaś mnie nawet, pierwszego tenora, jakiego Włochy całe posiadały, tenora genjalnego! — jak się o mnie wyrażał wielki Fiorene! — Co za czystość! jaki śpiew szeroki! jaka wymowa! jaka gra natchniona, niezrównana! Głuchy nie był by jeszcze stracił jednego słowa twojego!

— Musiałam wyglądać jak straszydło, z tą twarzą Mulatki?

— Byłaś piękną, jak dzień majowy!

— Raczej jak noc! — roześmiała się Erminja.

— Ale idę *mia cara*! idę upajać się pochwałami tobie oddawanemi, tobie, która jesteś mojem arcydziełem!

Barini brał za kapelusz, gdy za rękę go przytrzymała.

— Odjeżdżamy jutro ma się rozumieć! Przejdź się za mnie, skoro ja jestem na areszt domowy skazaną, ale uważaj, zmiłuj się, żeby cię nie ogłosili warjatem!

— Tak, tak! Oszalałem z nadmiaru dumy! — zawołał stary wylatując jak bomba z pokoju.

Wrócił dziwnie chmurny i zamyślony. Zauważyła to Erminja i spytała żartoliwie, czy ostro *L'Ombrę* krytykują?

— Nie, nie *regina mia*! wynoszą cię pod niebiosa! musieliby chyba ośle mieć uszy, gdyby nie leżeli wszyscy pokotem, u małych stopek twoich!

— Dla czegoż wyglądasz, jakbyś był czem stroskany?

— Nie tyle stroskany, ile jestem smutny istotnie. Wyobraź sobie, zebrano z wczorajszego przedstawienia sumę olbrzymią!

— Co za szczęście! — plasnęła w dłonie lady Stève.

— Biedny Stranoni atoli, nie weźmie z tego ani grosza! Wszystko dla sierót przeznaczone.

— Tak być powinno, skoro dla nich przedstawienie urządzano.

— Zapewne, *cara mia*, ale nieszczęśliwy dyrektor, obarczony siedmiorgiem dziatek! Sezon teatralny był w tym roku najgorszy... jest zrujnowanym!

— Biedaczysko! Cóż się z nim teraz stanie? — westchnęła Erminja z szczerem współczuciem.

— Nic mu nie zostaje, jak chyba utopić się!... mówił mi to przed chwilą...

— Zanieś mu ile mamy pieniędzy przy sobie.

— Chcesz więc, aby się dowiedziano, że *L'Ombra* jest wielką damą? Żadna śpiewaczka nie będzie tak wspaniałą. Udziela swojego talentu, ale nie sięga nigdy do woreczka z pieniądzmi.

— Cóż robić? — zawołała Erminja.

— Byłby jeden tylko sposób... Zapewniał mnię, iż dwa przedstawienia, dane przez wielką artystkę, raz na zawsze z nędzy by go wybawiły.

— To być nie może! — wykrzyknęła w pierwszej chwili młoda kobieta.

Nie upaja się jednak bezkarnie tryumfem, nie można doświadczać tak silnych wrażeń, nie odczuwając po nich pewnego zamętu w głowie. Odmówiwszy zrazu stanowczo, Erminja zaczęła się wahać, namyślać i.. przystała nareszcie, na coraz większe nalegania Barini'ego.

— Jesteś aniołem! — krzyknął stary uciekając czemprędzej, jakby się bał, żeby po bliższem zastanowieniu lady Stève obietnicy nie cofnęła.

Skoro zapowiedziano występy nieznanej spiewaczki, w okamgnieniu wszystkie miejsca zostały w teatrze rozchwytane po cenach bajecznych. Obszerna sala była przepełnioną gdy kortynę podnoszono.

Był to wieczór pamiętny, tak dla mistrza jak i dla jego elewki. Entuzjazm urósł do szału... starsi melomani odszukiwali w śpiewaczce dawną metodę doskonałą, którą uważali już za straconą, młodzi byli uniesieni potęgą talentu, który im się czemś niezwykłem wydawał; byli zresztą oczarowani wdziękiem *L'Ombry* niezrównanym. Musiała wymknąć się niespostrzeżenie drzwiami bocznemi, aby uniknąć tryumfu zbyt hałaśliwego, który jej gotowano. Uciekając, jeden tylko bukiet zabrała, bukiet z kamelji białych i fiołków, rzucony przez jasnowłosego młodziana.

Podczas ostatniego przedstawienia była obawa, iż się teatr zawali od krzyków i wywoływań. Kobiety zrywały sobie wieńce z głowy, rzucając je śpiewaczce pod nogi, mężczyźni nazywali ją *la diva celeste*!... Ona jednak widziała w tłumie całym tylko jednego, który stał blady i nieruchomy, a na końcu skłonił jej się nisko z czcią najwyższą, jakby jakiej monarchini.

Gdy po tych tryumfach niesłychanych znalazła się wreszcie lady Stève u siebie, była jakby upojona i odurzona powodzeniem. Skoro Marietta pomogła jej się rozebrać, odesłała ją i kazała powiedzieć Barini'emu, że jutro dopiero chce go widzieć, nie żeby była zmęczoną, ale czuła potrzebę i pragnienie pozostać samą. Dziwiła się czemu jej tak smutno w duszy...

Piękny bukiet leżał przed nią na stoliku.

— Na cóż mi kwiatów? — szepnęła w bukiet za-

patrzona, skoro nie zobaczę już tego, który mi je niósł w ofierze!

Jednak uszczknęła kilka listków białych i miękkich jak aksamit, chowając je do pudełka z brylantami.

Nikt by był nie poznał nazajutrz w białej i delikatnej blondynce, którą powóz unosił drogą ku Alpino, brunetki o cerze smagłej, puszystej niby dojrzała brzoskwinia, zachwycającej tłumy rozentuzjazmowane w teatrze *La Scala*, śpiewem cudownym i grą niezrównaną. Zagadka została nierozwiązaną, największe usilności, aby zbadać kim jest ta istota tajemnicza, pozostały bez skutku, wszelkie poszukiwania okazały się nadaremne. *L'Ombra* zniknęła jak cień prawdziwy.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Tajemnice wielkiego świata.

(Ciąg dalszy.)

III.

Paulina wypoczęła sobie zaledwie kilka godzin w Auxerre. Potem wypytywała się o Planche-Mibray.

Miała powierzchowność tak skromną, twarzyczkę tak ładną, a toaletę tak gustowną i pejedynczą, że nikt na świecie nie byłby poznał, iż należała do teatru.

Powozy publiczne, które jadą z Auxerre do Clamency, i przejeżdżają przez Coulanges, odjeżdżają o siódmej rano i o szóstej wieczór.

Powóz odjeżdżający rano już odjechał.

Paulina nie chciała czekać na powóz wieczorny.

Bonnard, poczciwy człowiek, trzymający berło dyrektorjalne hotelu du Léopard, rzekł do młodej kobiety:

— Ktokolwiek pojawi się u nas, wymawiając to imię de Planche-Mibray, ma prawo do naszych względów. Zdajesz się pani spieszyć, odeszlę panią moim wózkiem.

Paulina uradowana przyjęła propozycję.

— Auguście! — krzyknął właściciel hotelu — dawaj obrok koniom!

Paulina miała tylko z sobą jedną walizkę.

Podczas gdy konie jadły obrok, usiadła na walizie i zaczęła rozmyślać. Opuszczając Paryż, cel jej podróży wydawał się łatwym.

Cóż łatwiejszego w istocie w pierwszej chwili, jak pojechać do Planche-Mibray i powiedzieć baronowej: „Pani, zagraża ci podwójne niebezpieczeństwo: pierwsze, które uważam za mniejsze, jest niebezpieczeństwo śmierci, drugie zaś, które w moich oczach jeszcze bardziej straszne, jest poślubienie nędznika, który przyczynił się zpewnością do śmierci pana de Maugeville, i który, aby otrzymać twoją rękę, a raczej twój majątek, knuł najnędzniejsze intrygi!"

Paulina wyjechała, kreśląc sobie ten program. Ale w miarę jak zbliżała się do celu swojej podróży, wykonanie zdawało się jej trudniejsze.

Najpierw baronowa nie znała jej, nie słyszała może nawet nigdy o niej. Potem p. de Villenave był pewnie w zamku, a komuż prędzej uwierzy baronowa, czy jej, aktorce, czy człowiekowi, który ma być jej mężem?

— Jednakże — mówiła do siebie Paulina — baronowa musi mnie uwierzyć! Zresztą mam w ręku dowód, który jej przedłożę.

Był to bilet Villenave'a pisany do Corinny, a który przekonywał o zdradzie jego. W istocie Paulina przechowała ten bilet drogocenny.

Podczas gdy Paulina myślała o sposobie dostania się aż do pani de Planche-Mibray, aby nie spotkać Villenave'a, i by tenże nie dowiedział się o jej przyjeździe, jakaś stara kobieta, z koszykiem na ręku, weszła w podwórze hotelu du Léopard.

— Patrzcie! — rzekł chłopak stajenny, polewający wodą koła u wózka — oto matka Bréhaigne.

— Dzieńdobry chłopcze — odpowiedziała stara.

Była to w istocie Bréhaigne, nasza stara znajoma.

Przychodziła ona często do Auxerre, i nie pominęła nigdy hotelu du Léopard, gdzie wszyscy, zacząwszy od właściciela a skończywszy na służących, bardzo ją lubili. Zwykle ją częstowano szklanką wina lub kawałkiem chleba.

Chłopak stajenny rzekł do niej:

— Idźcie do kuchni matko Bréhaigne, dadzą wam tam co zjeść i pić.

— Chodźcie matko — rzekł równocześnie Bonnard, który stał na progu w kuchni.

— Jesteście bardzo litościwi — odpowiedziała dobra kobieta. — Bóg wam to nagrodzi — i poszła do kuchni.

Do chłopaka stajennego zbliżył się furman, aby mu pomódz i zaczęli mówić o Bréhaigne.

— Ale ona ma przecie doskonałe nogi — mówił furman August.

— Nogi żelazne — rzekł chłopak.

— Przychodzi przynajmniej dwa lub trzy razy na tydzień piechotą i wraca tak samo.

— Czternaście mil na jeden dzień, to nie bagatela!

— Ale załatwia rozmaite sprawunki i z tego żyje, a przytem wszyscy są dobrzy dla niej — rzekł August.

— Tak, to prawda.

— Wszędzie coś dostanie: w Planche-Mibray, w Rochepinte, w Senil, u tego biednego Maugeville'a, który umarł.

Wszystkie te nazwy odbiły się o ucho Pauliny jak uderzenia młotem.

— Któż to jest ta kobieta? — zapytała nareszcie, zwracając się do chłopaka, który kończył czyścić wózek.

— To kobieta z Coulanges nad l'Yonną, proszę pani.

— Żebraczka?

— Niezupełnie, ale tak niby.

— I przychodzi piechotą?

— Tak proszę pani.

— I powraca piechotą?

— Czasem jaki litościwy wieśniak weźmie ją na swój wóz, lub jaki mieszczanin posadzi ją koło swego furmana. To zawsze ulży jej trochę przecie!

— A więc — rzekła, śmiejąc się Paulina — jeżeli chcecie ją wziąć obok siebie, nie mam nic przeciw temu. Przeciwnie, będę bardzo kontenta, robiąc jej tę małą przysługę.

— Będzie bardzo zadowolona — odrzekł August.

— Hej! matko — zawołał fuman, widząc wychodzącą Bréhaigne z kuchni, z wielkim kawałkiem chleba w ręku — chodźcie no tu.

Bréhaigne zbliżyła się i grzecznie pokłoniła Paulinie.

— Pani ta jedzie do Coulanges — rzekł August. — I chce was wziąć na koziołek, to ulży waszym starym nogom, co?

— To prawda — rzekła Bréhaigne i pokłoniła się znowu Paulinie.

Potem jakieś wahanie było widać na jej twarzy.

— Pani, jak widzę, jest bardzo dobra — rzekła — jednakże nie wiem...

— Czy macie przyjąć? — rzekła Paulina śmiejąc się.

— Tak, moja poczciwa kobieto, ja wam z szczerego serca robię tę małą przysługę.

— Ale pani może jedzie zaraz? — rzekła Bréhaigne.

— Za kwadrans matko — odpowiedział furman. — Napoimy konie i zaprzęgamy.

— W takim razie — rzekła Bréhaigne — będę miała czas pójść do apteki na ulicę mostową.

— Idźcie i spieszcie się matko.

Bréhaigne pokłoniła się znowu Paulinie i wyszła.

— Czy uważałeś — rzekł August furman do masztalerza, który nazywał się Jakób — że od miesiąca, jak tylko Bréhaigne jest w Auxerre, zawsze chodzi do apteki?

— Do kata! tak, uważałem — odpowiedział Jakób — a co bardziej śmieszne, że lekarstwa, po które chodzi, nie są ani dla niej, ani dla nikogo w Coulanges.

— Dla kogoż więc są?

— Dla pustelnika z Frettoye.

— A ty wiesz to jakim sposobem?

— Jakim sposobem? Oto przeszłego tygodnia odwoziłem do Coulanges dwóch panów, którzy jechali na pogrzeb tej pani, która zabiła się w wąwozie, a markiz B. kazał ją nabalsamować, jak jaką księżniczkę.

— Cóż dalej?

— Ci dwaj panowie kazali mi po siebie przyjechać nazajutrz.

— Wiem o tem.

— Przypominasz sobie, że wtedy zabrałem Bréhaigne, tem łatwiej, że jechałem próżno.

— Pamiętam.

— Miała swój koszyk jak zazwyczaj, pełen flaszeczek i lekarstw, które zabrała u aptekarza na ulicy mostowej. Gdy byliśmy w lesie, zatrzymałem się chwilę, jak zazwyczaj u strażnika, aby coś przełknąć i dać wytchnąć koniom. Wtedy Bréhaigne zlazła, mówiąc do mnie: „Zostanę tutaj. Dziękuję ci Jakóbie.“ Myślałem, że lekarstwa były dla żony strażnika, która niedawno powiła dziecię. Pomyliłem się, Bréhaigne nawet tam nie weszła, i widziałem, jak poszła w poprzek lasu. Potem spostrzegłem pustelnika, który szedł naprzeciw niej. Dała mu koszyk, mówili coś z sobą po cichu, i straciłem ich z oczu.

— Więc to pustelnik jest chory?

— Nie wyglądał jednak na takiego.

— To dziwne, jednak zawsze — mruknął August.

Paulina siedząc niedaleko, nie straciła ani słowa z tej całej rozmowy, a nawet ostatnie słowa służących zaciekawiły ją bardzo.

Bréhaigne powróciła. Miała ciągle koszyk na ręku.

— Widzicie, że nie dałam wam długo czekać na siebie — rzekła.

Masztalerz wyszedł ze stajni, prowadząc konie.

Podczas gdy przyprzęgał je do wózka, kowal, który miał swoją kuźnię w małej uliczce z tyłu za hotelem du Léopard, wszedł na podwórze i rzekł do Jakóba, patrząc na wózek.

— Ale jesteś przecie próżniakiem mój chłopcze!

— Dlaczegoż to? — zapytał Jakób.

— Bo nie przyciągnąłeś mi powozu dziś rano, aby go nasmarować.

— Et! — odrzekł Jakób — zajedzie się jeszcze dobrze.

— To możliwe, ale uważaj, żeby się osie nie starły. Bo wiesz, że słabe!...

— Cicho! — szepnął Jakób — pan idzie, dostałbym burę. Jutro przytoczę wam powóz — i siadł na kozieł, wziąwszy lice w ręce.

Przyniesiono walizę Pauliny, ta wsiadła do wózka, a Bréhaigne usiadła obok woźnicy.

— W drogę! — zawołał tenże.

Wózek wyjechał szumnie z podwórka, a w kwadrans potem pędził drogą z Auxerre do Coulanges.

Wyjeżdżając Jakób nachylił się do ucha furmana, mówiąc mu:

— Wiesz co, intrygują mnie te lekarstwa dla pustelnika. Muszę wyciągnąć coś od starej.

I w istocie, jadąc na pagórek dość wysoki, Jakób zapytał nagle Bréhaigne.

— Więc pustelnik jest chory?

— Co takiego? — odrzekła drgnąwszy.

— To nie dla niego macie lekarstwa?

— Nie — rzekła krótko.

— A dlakogoż więc?

— Mój chłopcze — odrzekła tonem surowym — czy ja się mięszam do twoich interesów?

— Nie gniewajcie się matko... ale bo... widzicie...

— Co takiego?

— To mnie intryguje, i nie tylko mnie...

— Nadejdzie dzień, w którym wszystko się dowiecie — odrzekła poważnie i zamilkła znowu.

Paulina słuchała tej rozmowy z uwagą.

Milczenie Bréhaigne nie podobało się Jakóbowi, który był gadatliwym z natury. Widząc, że stara kobieta nie chce się tłumaczyć z stosunków swoich tajemniczych z pustelnikiem z Frettoye, zwrócił rozmowę na inny przedmiot.

— Mieliście dosyć wypadków w waszej okolicy od miesiąca.

— Tak, to prawda.

— I z tem wszystkiem nie odnaleziono zwłok pana de Maugeville?

Bréhaigne nic nie odpowiedziała.

— To mi się jakoś dziwnem zdaje — ciągnął dalej Jakób.

— He? — mruknęła Bréhaigne.

— Bo nie jest-że to dziwnem, aby nie odnaleziono zwłok człowieka zamordowanego? — mówił dalej Jakób.

— Las jest wielki i szeroki — rzekła stara kobieta.

— No tak, nie przeczę, ale przetrząśnięto go dobrze.

— Niekiedy — odpowiedziała stara — szukają igłę w wiązce słomy i nie znajdą także.

— Wszystko jedno, ale mnie tej myśli nikt z głowy nie wybije...

— Jakiej myśli?

— Zdaje mi się ciągle, że p. de Maugeville nie umarł.

Bréhaigne nie odezwała się ani słówkiem, ale Paulinie, która wstrzymała oddech i uczuła gwałtowne bicie serca, zdawało się, że Bréhaigne drgnęła.

— Zdarzyło się to już nie raz — odezwał się Jakób.

— Co się zdarzyło? — zapytała stara kobieta.

— Że ludzie, których miano za umarłych, powrócili jednego pięknego poranku.

— Byłoby to bardzo pożądanem...

— Spodziewam się — rzekł Jakób. — Był to taki dobry pan, ten p. de Maugeville... a szlachetny jak królewicz.

— O! co to, to prawda — odrzekła Bréhaigne.

I znowu zamilkła. Ale Jakób ciągnął dalej:

— Pewnie, żeby było pożądanem, aby wrócił, już tylko dlatego, aby przeszkodził małżeństwu pani de Planche-Mibray z tym Villenave'm... z tym ladaco...

Bréhaigne przybrała nagle wyraz ponurej ironji i rzekła:

— To jeszcze nie skończone! Obaczymy... — i mówiąc to, obróciła się nagle.

Paulina nie mogła opanować wzruszenia, które ją ogarnęło podczas tej rozmowy, i łzy płynęły po jej twarzy.

Bréhaigne obróciła się nagle, na co Jakób nie zwrócił uwagi.

Wózek wjechał na miejsce najprzykrzejsze na wzgórku, i ażeby ulżyć koniom, Jakób wyskoczył lekko na ziemię. Wtedy Bréhaigne rzekła żywo do Pauliny:

— Pani płaczesz?

Paulina otarła łzy.

— Czy pani znałaś pana de Maugeville? — zapytała Bréhaigne z nagłem wzruszeniem.

Paulina zebrała się na odwagę i skłamała.

— Jestem jego siostrą mleczną — rzekła, aby coś odpowiedzieć.

— Biedna pani! — szepnęła stara kobieta.

A gdy Paulina płakała ciągle, szepnęła do niej:

— Bóg jest lepszy jak myślą! Obaczymy...

Jakiś promyk nadziei, który dwa razy już zabłysnął w sercu Pauliny, zajaśniał znowu.

— Co chcecie powiedzieć? — zapytała żywo.

— Nic — odrzekła Bréhaigne.

Ale Paulina chwyciłą ją za rękę, i wstrząsnąwszy nią gwałtownie, rzekła:

— Jeżeli coś wiecie, przez litość powiedźcie mi. Błagam was.

— Nie wiem nic.

— O! czytam w waszych oczach, że mnie oszukujecie! — rzekła Paulina głosem zrozpaczonym. — Na miłość Boga, którego dobroć podnosiliście przed chwilą, zaklinam was, powiedźcie mi, co się stało z panem de Maugeville?!

A głos Pauliny był tak błagający, tak rzewny, że Bréhaigne zdawała się wzruszoną, i na chwilę nawet usta jej się otwarły, jakgdyby chciała wymówić jakąś tajemnicę, ale nagle wstrzymała się.

— Nie — szepnęła — przysięgłam...

— Komu?

— Pustelnikowi.

Odpowiedź ta była dla Pauliny odkryciem wszystkiego. I chwyciwszy znowu za rękę Bréhaigne, rzekła do niej z wyrazem niepokoju, w którym przebijała jednak nadzieja:

— Ach! powiedźcie mi, że on nie umarł!

— Cicho! — szepnęła Bréhaigne. — Później...

Jakób usiadł na koziołek i wziął lejce w ręce, które obkręcił był wokoło bicza. Wózek wjechał już był na sam szczyt wzgórka i znajdował się teraz na pochyłości raptownej.

Paulina otarła łzy i opanowała wzruszenie, a Jakób zajęty hamowaniem wózka, nic nie widział. Wtem nagle Bréhaigne, wpatrując się w dal swemi małemi oczkami siwemi, krzyknęła:

— Boże mój, czy podobna!

— Co takiego? — zapytał Jakób.

— Patrz no tam na dół! — i wyciągnęła rękę.

Widać było błyszczące do słońca bagnety czterech żandarmów, a między nimi dwóch mężczyzn i jedną kobietę, z rękami powiązanemi sznurami, których końce przyczepione były do siodła koni.

— O! o! — zawołał Jakób — spolowali coś żandarmi.

— A ładna zdobycz, jeżeli się nie mylę! — rzekła Bréhaigne.

— Któż to taki matko?

— To stara Balthazar i jej dwaj synowie, którzy skradli brylanty tej pani z Paryża.

Paulina drgnęła i pochyliła się żywo naprzód, aby obaczyć więźniów.

IV.

Wkrótce wózek zatrzymał się, robiąc miejsce żandarmom. Pomiędzy nimi szli Balthazary. Dwaj synowie, ponurzy i posępni, spuścili głowy. Matka przeciwnie, śmiała się cynicznie, a gdy zbliżyli się do wózka, zaczęła śpiewać jakąś pieśń bezwstydną. Potem poznawszy Bréhaigne, zawołała:

— Hej! stara! ty, która chodzisz często do Auxerre, czy przyjdziesz obaczyć, jak będą mię ścinać?

— Przyjdę! — odpowiedziała Bréhaigne głosem, który aż przeraził Paulinę.

— No! panie brygadjerze — rzekł Jakób furman z Léopard — spolowaliście ładną zwierzynę, jak widzę..

— To nie my — odrzekł brygadjer.

— To pewnie ci z Coulanges?

— A tak, oni! Schwycono tych łotrów z tamtej strony Nevers. Szli spiesznym krokiem, ale teraz — rzekł brygadjer śmiejąc się — zwolniono im kroku.

Klara Balthazar zaśmiała się drwiąco, wołając:

— Nie trzeba się było pytać! Spojrz tylko na brygadjera, a zobaczysz, że to bałwan do niczego! On by nas pewnie nie był schwycił w stodole, podpaliwszy ją wprzódy. Ale moi waleczni chłopcy ubili przecież dwóch żandarmów! Kochane baranki! A więc porachowaliśmy się — i zrobiła gest straszny, posunąwszy ręką po gołej szyi, naśladując nóż gilotyny.

— Ruszaj prędzej stara czarownico! — zawołał brygadjer, uderzywszy ją kolbą po ramieniu.

I orszak więźniów podążył dalej, podczas gdy wózek pojechał w kierunku przeciwnym.

Paulina była bardzo blada. To ohydne spotkanie wzruszyło ją do reszty. Byłaby dała dziesięć lat życia, aby Bréhaigne chciała mówić, a Jakób zlazł z kozła. Ale Jakób, jakby się uwziął, mówił ciągle o Balthazarach, o kradzieży brylantów, i tem zajmował uwagę Bréhaigne.

Jednakże ten promyk nadziei, który zabłysł w duszy Pauliny, wzrastał ciągle. Dlaczego Bréhaigne, która zdawała się wiedzieć tyle rzeczy, mówiłaby w ten sposób tajemniczy o panu de Maugeville, gdyby był umarł?

Wózek leciał pędem strzały. Jakób zapomniał zupełnie o napomnieniu kowala, aby jechał zwolna, bo osie niepasmarowane mogą pęknąć.

Z tamtej strony Courson na wzgórku, znajduje się szynkownia, ulubione miejsce wszystkich furmanów i przewodników. Tam zawsze ludno, nawet i w nocy.

Przejeżdżać koło szynkowni p o d h u z a r e m, a nie zatrzymać się, byłoby brutalstwem! Jakób, spostrzegłszy już zdaleka szynkownię, zaczął stękać głosem rozpaczliwym, mówiąc:

— Biedne konięta! takie spocone. Możeby trochę wypoczęły.

A gdy Paulina nic się nie odzywała, zwrócił się wprost do niej, mówiąc:

— Niech pani się nie gniewa, ale konie moje muszą wytchnąć chwilkę.

— A więc! — odrzekła Paulina, którą te słowa wyrwały z zamyślenia, w jakiem była pogrążona — niech odpoczną, dobrze.

— O! nie tutaj — rzekł Jakób. — Tam na górze — i wskazał ręką na szynkownię, o której marzył.

— Jak chcecie! — odrzekła Paulina i pogrążyła się w myślach.

W kwadrans potem stanęli przed szynkownią p o d h u z a r e m. Jakób okręcił lejce koło bata i wyskoczył lekko na ziemię.

Potem wszedł do szynkowni mówiąc:

— Hej! ojcze Bourguignon! Wiadro wody dla koni,

i szklankę wina dla furmana.

Szynkarz przyzwyczajony był do takich rozkazów i prędko je wypełnił, z tą tylko różnicą, że zmienił porządek, w jakiem były powiedziane.

W jego pojęciu, człowiek zawsze trzymał pierwsze miejsce przed koniem. Zaczął więc najpierw nalewać Jakóbowi. Ten wypił jednym duszkiem wino, mówiąc:

— Cóż tam, nie ma nic nowego?

— O! czemu nie! — rzekł Bourgnignon (było to nazwisko właściciela szynkowni) — jedziecie z Auxerre?

— Tak jest.

— W takim razie zdybaliście żandarmów?

— Tak ojcze.

— Z więźniami?

— Właśnie z niemi.

— Łyknęli trochę tutaj i bałakali — rzekł szynkarz.

— I cóż mówili?

— To długa historja mój chłopcze. Najpierw Balthazary są rozwścieczeni.

— Czy to prawda, że ukradli brylanty tej pani?

— Tak, prawda.

— I odnaleziono je?

— Zdaje się, że strasznie je bronili, gdyż nawet zabili dwóch żandarmów. Teraz wiedzą dobrze, że zginą na gilotynie.

— O! za mniejsze nawet rzeczy, niedopiero za takie gilotynują!...

— I dla tego wszystko powiedzieli.

— Jakto?

— Że to oni byli powodem wpadnięcia karety do przepaści. Przyczepili sznur, w który konie się zaplątały, i przez co wszyscy zginęli.

— O! łotry! — mruczał Jakób z naiwnem podziwieniem.

— To jeszcze nie wszystko — mówił dalej szynkarz — było ich trzech braci...

— Wiem o tem.

— To najmłodszy wynalazł sposób przeciągnięcia sznura w poprzek drogi.

— Łotr!

— A gdy powóz wpadł w przepaść, to bracia zabili go.

— Dobrze zrobili! — mruknął Jakób.

Wypił resztę wina, potem wziął wiadro z wodą i gąbką, wyszedł z szynkowni, i zaczął odświeżać nozdrza i uszy koniom. Poczem, odprzęgnąwszy je, dał obrok, a widząc, że jedzą powoli, rzekł do siebie:

— Napiję się jeszcze szklaneczkę wina; wszak tak gorąco na dworze — i poszedł znów do szynkowni.

Przez ten czas Paulina zasłonięta parasolką, błagała wzrokiem Bréhaigne, aby się wytłumaczyła. Ale Bréhaigne milczała, a twarz jej nic nie mówiła.

Jakób rozpoczął znów pogawędkę z szynkarzem.

— Gdzież wy jedziecie? — mówił szynkarz.

— Do Coulanges.

— Do zamku, czy do miasteczka?

— Nie wiem. Pani, z którą jadę, nie mówiła mi nic.

Szynkarz nachylił się ciekawie, aby obaczyć Paulinę. Ale Paulina zakryta była parasolką, i ojciec Bourgnignon nie mógł dostrzedz jej twarzy. Poznał tylko Bréhaigne.

— Co to? — rzekł — wieziesz także starą?

— Tak.

— Czy była znowu dziś rano w aptece?

— A jakże, i to zaczyna mnie już zaciekawiać — odpowiedział Jakób.

— Nie ciebie pierwszego to zaciekawia mój chłopcze, że temu nowemu pustelnikowi wciąż nosi lekarstwa.

— Czy on taki słaby?

— Ale nie, przynajmniej nie wygląda na chorego. Chauvin, strażnik, śledził go kiedyś tu wieczór, chcąc się dowiedzieć, gdzie idzie z koszykiem, ale znikł mu w gęstwinie i stracił go z oczu.

— Jednak to dziwne zawsze.

— Bardzo dziwne — szepnął Bourgnignon.

Głos Pauliny dał się słyszeć w tej chwili.

— A co tam Jakóbie, czy nie jedziemy jeszcze?

— Zaraz, zaraz proszę pani — odezwał się Jakób, wyszedłszy spiesznie z szynkowni.

Ojciec Bourgnignon wyszedł za nim, chcąc się przypatrzyć podróżnej. I musiał ją znaleźć ładną, bo zmrużył oczy i cmoknął językiem jak prawdziwy znawca. Jakób zaprzęgał konie.

— Musiałeś gonić dobrze — rzekł szynkarz — kiedy biedne konie takie pomęczone.

— Jechałem prędko to prawda, za prędko może nawet — mówił Jakób, którego wino zrobiło wylanym. — O konie mi nie chodzi, ale o wózek.

— A cóż brakuje twemu wózkowi?

— Osie nie nasmarowane.

— Do djabła! chłopcze — rzekł ojciec Bourgnignon — to niebezpiecznie! Możesz zostać na drodze. Do czego to te wózki modne — mruczał — głupie wynalazki! Nie ma to jak starodawne, posmaruje się mazią i kwita. Bez żadnych ceregieli.

— To prawda — odrzekł Jakób.

— Może chcesz, abym ci mój wóz pożyczył? — zapytał jeszcze szynkarz.

— Dziękuję, nie ma potrzeby. Zajadę jeszcze do Coulanges, a stelmach tamtejszy ma oliwę i umie smarować osie.

— No to jedź w imię boże.

Jakób usiadł na kozieł i rzekłszy dla formy: „niech pani daruje,“ trzasnął z bicza i konie ruszyły z miejsca.

Okolica tamtejsza jest bardzo górzysta, i co moment wyjeżdża się lub zjeżdża z jakiegoś pagórka. Wózek pędził szybko.

Konie pożywione obrokiem, nabrały sił nowych, i wkrótce linja czarna zarysowała się przed nimi.

— Co to takiego? — zapytała Paulina.

— To las Frettoye, przez który przejedziemy — odpowiedziała Bréhaigne.

— Daleko jeszcze jesteśmy od Coulanges?

— Nie, wyjechawszy z lasu, widać będzie dzwonicę.

— Czy zatrzymacie się znowu matko w lesie? — zapytał Jakób.

— Tak mój chłopcze.

— Tam macie schadzkę z pustelnikiem, nieprawdaż? — i Jakób zaśmiał się szyderczo.

— Niech cię to nie obchodzi — odrzekła krótko Bréhaigne.

Tymczasem koła zaczęły skrzypieć, dowód nalepszy, że brakło im oliwy.

— Do pioruna! — mruknął nagle Jakób — wózek zaczyna ważyć z jakie pięćset kilo. Koniętom ciężko nie lada!

Paulina nie rozumiała tego dobrze. Zresztą zajęta była ciągle myślami, które jej nie opuszczały od paru godzin.

Wózek jechał teraz przez las gęsty, miejscem dzikiem i pustem. Nagle konie stanęły. Zdawało się, jakgdyby ciężar, który ciągnęły, był nad ich siły.

— No dalej — zawołał Jakób, uderzając je biczem.

Konie ruszyły, a Jakób spostrzegł wtedy, że jedno koło przestało się obracać, gdyż oś pękła.

— Do kata! — zawołał — a tośmy złapani!

— Co takiego, co się stało? — zapytała Paulina.

— Proszę pani — odpowiedział biedny chłopak przestraszony — musimy tu zostać i czekać, dopokąd kto nie nadjedzie i nie pomoże nam, a przynajmniej dopokąd ja nie wrócę z wozem ojca Bourgnignon.

Paulina nie spieszyła się już teraz tak bardzo do Coulanges. Teraz pragnęła przedewszystkiem ubłagać Bréhaigne, aby coś od niej się dowiedzieć, a do tego potrzebowała być z nią sam na sam. Chwyciła się więc z pospiechem propozycji Jakóba.

Ten odprzęgłszy konie i usunąwszy wózek nabok drogi, a zostawiwszy obie kobiety w tem miejscu samotnem, popędził szybko po wóz szynkarza.

Paulina i Bréhaigne zostały więc same w tym lesie samotnym i dzikim, którędy nikt nie przejeżdżał, i w którym, każdym innym razem, Paulina byłaby się bała zpewnością. Ale młoda kobieta nie myślała w tej chwili o sobie.

Całem jej marzeniem było, wydobyć coś od Bréhaigne. Dlatego złożywszy ręce i wpatrując się w wieśniaczkę wzrokiem błagającym, rzekła do niej:

— Przez litość, moja poczciwa matko, powiedźcie mi prawdę!

Bréhaigne spojrzała na nią, a widząc ją we łzach, rozrzewniła się i odrzekła:

— A więc! posłuchaj mię pani.

Paulina aż krzyknęła z radości.

— Gdzie pani jedzie, do Coulanges, do zamku pani baronowej, czy do hotelu?

— Nie wiem jeszcze.

— A! — rzekła Bréhaigne zdziwiona. A potem dodała nagle:

— Ale pani interesa nie należą do mnie, i mniejsza z tem, czy pani będzie w zamku czy w hotelu, zawsze ją znajdę.

— A więc? — rzekła Paulina niespokojna.

— Przyjdę jutro do pani — mówiła dalej stara kobieta. — Jeżeli pustelnik powie mi co, jeżeli pozwoli mówić, powiem wszystko. Bo do dziś, widzi pani, nie wiem nic...

— Nic? — rzekła Paulina głosem stłumionym.

— Zupełnie nic.

Paulina zrozumiała, że kobieta ta była związana przysięgą, i że tej przysięgi nie złamie. Ale nadzieja w niej wzrosła, i nadzieja ta zapuściła głęboko korzenie w jej sercu. Paulina nie śmiała już więcej jej pytać.

Czas upływał. Już przeszło godzinę jak Jakób był pojechał na koniu po wóz.

Paulina odezwała się nareszcie:

— Zdaje mi się, że bardzo długo bawi nasz furman.

— Zatrzymał się pewnie dłużej w karczmie — odpowiedziała stara. — Poczciwy chłopak, ale lubi czasem łyknąć.

— Ale noc się zbliża... i przyznam wam się poczciwa kobieto — rzekła naiwnie ładna aktorka — że bałabym się bardzo być tu sama.

— Dlatego to nie odchodzę — odrzekła Bréhaigne — bo ja już prawie jestem na miejscu.

— To nie jedziecie aż do Coulanges?

— Nie, zatrzymam się ot tam... widzi pani...

Paulina spojrzała, ale nie dostrzegła żadnego mieszkania. A patrząc w kierunku, w którym wskazywała Bréhaigne, spostrzegła tylko pniak drzewa, leżący przy drodze.

— Ależ to nie dom — odrzekła.

— Nie — rzekła Bréhaigne — ale tam mam schadzkę.

— Z kim?

— Z pustelnikiem.

Paulina drgnęła.

— I on tam przyjdzie?

— Wkrótce.

Bréhaigne przysłoniwszy sobie oczy ręką, spojrzała w niebo przez drzewa.

— Tak — rzekła — niedługo... Za pół godziny będzie tu.

I właśnie, gdy to mówiła, ktoś przeszedł ścieżką niedaleko.

— Otóż i on! — rzekła Bréhaign.

Paulina podniosła się żywo, i w istocie obaczyła pustelnika, który zbliżał się bardzo zwolna.

Gdy był jakie dziesięć kroków od drogi, zatrzymał się trochę zdziwiony. Spostrzegł Bréhaigne, ale obaczył także wózek stojący, a w wózku tym Paulinę, piękną damę, jaką nie często spotkać można na wsi. Przez chwilę sądził, że to była pani de Planche-Mibray, i chciał już nawet uciekać, ale Bréhaigne kiwnęła na niego i zbliżył się.

Wówczas gdy się kłaniał, Paulina przypatrywała mu się z ciekawością. Bréhaigne opowiedziała mu prędko w kilku słowach, z jakiego powodu znajduje się tu z młodą kobietą. Potem podała mu koszyk i rzekła z niepokojem, który zauważała Paulina:

— A co? jak się ma?

— Zaczął mówić.

— Wielki Boże! czy podobna? — wykrzyknęła Bréhaigne, składając ręce.

— Poznał mię... i zaręczam teraz, że żyć będzie... — dokończył pustelnik głosem wzruszonym.

Ale nagle Paulina krzyknęła głosem, w którym odbijała się jej dusza cała, głosem, w którym szczęście bez granic zdawało się przebijać! I gdy pustelnik spojrzał na nią i cofnął się zdumiony, chwyciła go gwałtownie za rękę.

— Ach! — zawołała — powiedźcie mi, że mówicie o nim!

— O nim? — zapytał Fanfreluche.

— Tak, o Maugeville'u! — odrzekła Paulina wzruszona.

Bréhaigne spojrzała na nią.

— Ach! biedna pani — rzekła — jak ona go kocha...

Paulina zawołała:

— Kocham go i płaczę za nim jak siostra. Ach! jeżeli to o nim mówicie, powiedźcie mi, zaklinam was! — i złożyła ręce, a łzy gorące zalały znowu jej twarz.

— Tak, o nim mówiłem — rzekł Fanfreluche wzruszony.

— Boże mój! dzięki ci! — zawołała Paulina, padając na kolana.

— Żyje i jest ocalony! — dodał pustelnik.

— Ale gdzież on jest, o Boże?! — zawołała znowu Paulina.

Pustelnik wziął ją za rękę mówiąc:

— Chodź pani ze mną.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z dzisiejszym numerem kończy się prenumerata za II. kwartał. Dla dogodności Sz. Abonentów załączamy przekazy zwrotne, upraszając zarazem o wczesne nadesłanie.

Kwartalnie 2 złr. — Półrocznie 4 złr.

Administracja Świata powieściowego.

Redaktor-Wydawca: W. Maniecki.